POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXI — WARSZAWA, DNIA 29 CZERWCA 1929 ROKU — NR. 26

JERZY OSTROWSKI

9)

JAZONEJA

(POWIEŚĆ EGZOTYCZNA)

Ale przyszedł czas, że poszły nadania ziemi, klasztory, arendy i podziały w rozrodzonych familjach, a i procesy w grodach wykurzyły niejednego z jego jamy, gdy nic pisanego nie mógł ludziom pokazać.

Zmalał świat. Dokąd się nie ruszyć — wszędzie płot, wszędzie kara lub proces. Opisali wszystko, wytyczyli, trzeba było przycupnąć na swoim chudym zagoniku i żuć, co Bóg dał. Czasem tylko dawna żyłka pociągnęła do lasu z powiązaną drutami kapiszonówką na zakazaną zwierzynę — na żubra.

Ciasno zrobiło się temu, który tu przyszedł ze swoich chudych piasków, ziemię wydarł lasom i zawsze miał co ciąć i do czego strzelać. Dawał też chętnie ucho wieściom, które przynosił tu wiatr i jakieś wycirki ludzkie w obdartych paltotach. Nie taki znowu straszny był mu daleki świat i jakieś nowe lasy.

. . . .

Teraz stary Szuk stał się dziwnie niecodzienny i niedzisiejszy, gdy szerokim krzyżem przeżegnał las, obejmując go we władanie tym znakiem swojej wiary i swojej cywilizacji.

Prawda, nie oni pierwsi na tej ziemi byli zdobywcami: szli tu przez wiele lat śmiali i dumni conquistadorowie, których życie było romansem i awanturą. Ale ci złota szukali, a zostawiali krew. Do ziemi samej nikt tu się jeszcze nie zwrócił z dobrej woli. Albo kopano ją z wściekłością, szukając kamieni, albo deptano w przeklinanej pracy plantacyj.

Coś z tego błąkało im się po głowach i byli dziwnie uroczyści. W chwilę jednak potem zwyczajnie i rzeczowo spróbowali, czy żelaza trzymają się dobrze na trzonkach i podeszli do samego lasu. Zaczęli od samej tropy, ze spokojną a mściwą zawziętością nie przebaczając najmniejszej trawce. Szli coraz głębiej. Ale i las zaczął się upierać: ściana gąszczu stawała się coraz spoistsza i coraz rozmach fojsy natykał się na jakieś powikłane pieńki niepozornych niby drzewek. Dobrze jeszcze, że na początek nie spotkali poszycia z trzciny — „putingi", od której fojsa odskakuje, jak od pierzyny. „Taquara" łamała się posłusznie, trzeba było tylko uważać, żeby twardy ukośny koniec uciętej łodygi nie ukłuł niespodziewanie i boleśnie. Pracowali zresztą w wysokich butach, dla ochrony przed żmijami i — z przyzwyczajenia.

Szli nieubłaganym krokiem, jak kosiarz i śmierć, ale kiedy doszło południe mdlały im ramiona i uginały się nogi. Cóż? — Szuk był już stary. A wszyscy trzej nienawykli do tej roboty.

Wyszli na „tropę" i spojrzeli na swoje dzieło. Spojrzeli i nie chciało się im wierzyć: toż nie znać prawie było ich pracy. Ot, tak jakby ktoś trochę trawy podeptał. Mało tego jednak było, a i na tym kawałku pozostały większe drzewa, bo naprzód musieli sobie do nich drogę otworzyć fojsą, a potem dopiero zabrać się do nich na dobre.

Szkoda im było czasu na rozpalanie ogniska, więc tylko pojedli „farofy", złożonej z „fariny" mandjokowej i „szarki" i odpocząwszy rozumnie, zabrali się z większą jeszcze pasją do roboty. Nie opatrzyli się, gdy zaczęło zmierzchać i wskutek tego w drodze złapała ich już zupełna noc. Doszli jednak, choć trzaskania „taquary" straszyły ich całą drogę.

Odetchnęli bliskością ludzi, gdy weszli do obozu: wszystko tu było mniej groźne, bardziej swojskie, bezpieczniejsze. Ludzie witali się, jak żołnierze, wracający z pozycji. Rozmowy były podniecone, każdy miał coś do powiedzenia o swojej pracy. A że nic nie było słychać podejrzanego — uspakajali się powoli.

W ciągu następnych dni szła ta sama praca, do której już powoli się wkładali. Ciężej było z cięciem drzew: były wśród nich takie, które były równie twarde, jak żelazo narzędzia, a kto wie, czy nie twardsze. Słoje miały pokręcone, powikłane, wiór od nich odskakiwał krótki, a średnica ich była ogromna. Jakieś nieznane Imbuje, Sapopemy, Gabriuvy, Kanele i Jacarandy, od których odskakiwała siekiera a ręce odbijały się do nieznośnego bólu. Niektóre też musieli pozostawiać i liczyć tylko, że kilkakrotny pożar poszycia nagryzie je i powali. Ale często i miękki pinjor sprawiał dość kłopotu, bo mając związany ljanami wierzchołek z innemi drzewami — nie upadał odrazu i groził upadkiem w chwili niespodziewanej.

Kto mało miał w sobie twardości — tego te twarde drzewa zwyciężały: marniał, tracił ducha i myślał o ucieczce. Ale tych było mało: gromada się zacięła i w ogromnym lesie wycinała małe, śmieszne prawie polanki, które jednak były groźnemi forteczkami, mającemi służyć za punkt oparcia dla najeźdźców lasu.

Lazaro łaził się wśród osadników, z wyższością urodzonego włóczęgi patrząc na ciężko pracujących ludzi. Lubili go jednak i widzieli chętnie, bo często coś poradził do rzeczy, a zresztą sam widok człowie-

ka, który wyszedł cało z rąk „dzikich“ — dodawał im otuchy.

Zaszedł też na ostatni lot i powiedziawszy swoje nieco znudzone „bom dia“ — przykucnął koło ich tłomoków. Patrzył uważnie jakby był ogromnie zainteresowany w wyniku tej pracy. Tak leniuchując, lubił Lazaro pofilozofować. Zresztą filozofja jest przecie córką lenistwa: człowiek, który pracuje — jest na to za prostolinijny i ubogi; aby móc myśleć — trzeba porzucić pracę i patrzeć na pracę innych, wtedy rodzą się mądre myśli. Nie aktor lecz widz jest krytykiem i teoretykiem sztuki.

Lazaro lubił myśleć i mówić; jeżeli nie mógł mówić — myślał tylko, choć to sprawiało mu tylko połowiczną przyjemność. Tych dwuch zastanawiało go: stary z synem pracowali — rzec można — zbożnie. Cięli drzewa z westchnieniem, usuwali je z powagą sędziów i w imię czegoś, co odczuwali, jako święte. Całkiem inaczej — Cobus: ten ciął z furją, z gniewem, w natchnieniu. Co jakiś czas przystawał i patrzył na las szerokim rzutem oka, jak wódz na armję nieprzyjacielską. Nie nużył się też szybciej, niż tamci dwaj i robił za dwuch, choć wydawało się, jakby zamało poważnie traktował swoją robotę.

Lazaro mruczał coś do siebie z uśmiechem, a kiedy przyszli do tłomoków i poczęstowali go „pasoką“, zagadnął Cobusa:

— Będzie pan stawiać tu dom?

— Dom? — zdziwił się Cobus. — Nie myślałem jeszcze... No, oczywiście, że będę stawiał dom! — dodał nagle.

— Naprzód dom — „casa“ — dowcipkował nibyto Lazaro. — A potem trzeba się ożenić — „casar“...

Ponieważ Szukowie nie rozumieli dobrze i pytali, Cobus tłumaczył. I właściwie sam dopiero zrozumiał, że „ożenić się“, znaczy po portugalsku jakby „zadomowić się“ z kimś. Z kobietą.

Po śniadaniu Szukowie poszli do roboty, a on jakoś stracił rozmach: został jeszcze z Lazarem i leniwie przerzucali się słowami. Przeleciał jakiś ptak, choć naogół uderza przybyszów dziwny brak wszelkiego ruchu w przyrodzie.

— Myślałem, że tu więcej zwierzyny — powiedział Cobus.

— A senhor — myśliwy?

— O, tak! — odpowiedział szybko Cobus. I po chwili wahnia dodał. — Tam, w Starym Kraju, pan wie? — byłem leśniczym. Polowałem.

Lazaro ożywił się:

— Trzeba poznać warunki — tłumaczył. — Zwierzyna jest, ale nie siedzi w jednem miejscu — chodzi. Naprzykład wodopój obiera coraz gdzieindziej. Ba! — często wcale nie wraca w te same okolice. I potem bez psów — niepodobna. Tu, u nas właściwie to psy polują, a myśliwy tylko strzela. Jeżeli nie ma dobrych psów — może nie ruszać się z domu. Chyba, że wypadkiem...

Rozpytywał się potem Cobus jeszcze o różnego zwierza. Obrócił się teraz całkiem ku Lazarowi i chwytał każde słowo. Fojzą zaś ścinał machinalnie trawę w promieniu ręki.

— „Anta“ — mówił Lazaro — to najlepsze polowanie, bo i mięsa sporo i skóra... Trop łatwy i zawsze przy wodzie. Kiedy psy zaczną pędzić — trzeba tylko zasiąść na ścieżce tapira — na „carreirze“, która prowadzi do wody. Strzał jest pewny, bo „anta“ zajęta psami — pozwoli blisko podejść. Można wprost z rewolweru...

— A jaguar?... A dzikie świnie?... A kiedy najlepiej polować?...

Tyle mieli tematów, że nie opatrzyli się, gdy się miało pod wieczór. Słońce krwawiło się za drzewami i obrysowywało czarne kontury pinjorów, podobnych do chińskiej pagody w swej sylwecie. Zeszli z pola Szukowie i ruszyli wszyscy do obozu. Szuk nic nie mówił, ale spoglądał z pod oka na Cobusa i uśmiechał się nieznacznie.

Nazajutrz Lazaro robił handel z Cobusem sprzedawał mu „wierzchowca“ swego zmarłego towarzysza. Przerzucanie muła, targ... Potem wybrali się razem w drogę. Niedaleką zresztą. Byli na owej fazendzie, o której właściwie mówiono, jak o micie: skąd tu, na odludziu?...

Coprawda to więcej tam było szumnej nazwy, niż rzeczywistości. Klaskali długo przed bramą, nim wyszedł majestatyczny mężczyzna, o rasowej twarzy, oberwany i brudny do ostatecznych granic, w drewniannych chodakach — „szynelach“. Dokładnie tak, jak pan wyglądał — przynajmniej dla przybysza z za Oceanu, cały „kram“ jego: czarna, kurna chata z łupanego pinjora i podobna kuchnia, pozatem jeszcze coś w rodzaju płotka, kilka kur i psy. Lazaro jednak mruknął z uznaniem:

— Niezła Fazenda.

Po długim wstępie wyznali, że właśnie chodzi im o psy: czy nie ma czasem na zbyciu? Gotowi są zapłacić...

Gospodarz był wyszukanie grzeczny, ale do domu nie zapraszał. Psów nie ma. Owszem jednak suka jest szczenna, za jakiś miesiąc można będzie pogadać, choć właściwie on sam potrzebuje.

Przyglądali się sobie uważnie z obu stron, poczem uprzejmie pożegnali się i rozeszli. Skończyło się właściwie na niczem.

Cobus powrócił do karczunku następnego dnia; jechał na miejsce pracy na swoim mule, położywszy wpoprzek siodła tłomok z rzeczami. Pracował nie mniej zawzięcie, niż przedtem, choć zagadywał się czasem z Lazarem, który prawie codziennie teraz zachodził. Karczując, oddalali się od siebie z Szukiem i teraz tylko po głosie poznawali, gdzie jest sąsiad.

Potem przyszedł ten moment przez wszystkich tak oczekiwany, kiedy Dyrekcja miała budować domy. Domek Messla już ponoć stał, oczyścił on bowiem tylko kawałek miejsca, przy samej drodze i tam też postawili mu dom. Niektórzy poszli go oglądać. była to niesłychanie mała chałupinka, ciasna i tandetna, tak, że niektórzy nabrawszy już wiary w siebie i znajomości rzeczy — wyrzekali się takiego domu i postanawiali budować sobie sami.

Stary Szuk postanowił „na tymczasem“ przyjąć jednak to pudełko, zanim pobuduje coś większego. Przyszli więc robotnicy z senhorem Affonso na ostatnie loty i przyglądali się twórczemu spustoszeniu, dokonanemu przez kolonistów.

Senhor Affonso był teraz dziwnie uprzejmy dla Cobusa i spytał go:

— Czy i pan życzy sobie dom? i w którem miejscu?

Cobus odwrócił się i mruknąwszy niechętnie począł się oddalać. Po chwili krzyknął:

— Nie potrzebuję od was żadnego domu!

Miał Cobus już spory kawałek oczyszczonego lasu, ale nie zabierał się do budowy domu. Zbudowali sobie we dwuch z Lazarem obszerne „rancho“ i tam zaczęli nocować. Potem został sam, bo Lazaro zgodził się do „fazendy“.

(D. c. n.).

TRÓJKA TREFL

14)

Godfrey wpadał w zachwyt. Słowa, a także i umysł Gellerta zdawał się być pozbawiony tej złośliwości, która malowała się na jego twarzy.

I nagle, w osiem dni po przybyciu Godfreya do Kés, zaszedł fakt przykry i nieoczekiwany. Zdarzenie to, utwierdziło młodego Anglika w przekonaniu, że pierwsze wrażenie jest, niemal zawsze, nieomylne.

Zmierzch zapadał i Godfrey szedł do swojego pokoju, po papierosy. W korytarzu ujrzał idącą mu naprzeciw pokojówkę.

Zauważył ją już przedtem, gdyż była młoda i wyjątkowo ładna. Posiadała piękne czarne oczy i mleczną cerę. Wtem z bocznych drzwi wypadła niekształtna postać hrabiego Gellerta. Szedł bez szelestu za dziewczyną i Godfrey sądząc że minie się z nimi, usunął się w bok, ażeby przepuścić ich. Ujrzał twarz karła, na której malowała się dzika żądza; oczy Gellerta wychodziły z orbit, na wargach drżała piana.

Zanim Cairsdale zdążył krzyknąć, lub wykonać jakiś ruch, ramiona Gellerta wyciągnęły się, a długie ręce pochwyciły od tyłu biały i tłusty karczek nieszczęśliwej dziewczyny.

Wyrwała się z tego kleszczowego uścisku, wydając dziki okrzyk. Następnie ujrzawszy potworną twarz karła, tuż przy swojem ramieniu, padła bez czucia.

Godfrey rzucił się na jej ratunek, ale zapóźno. Nie mógł zapobiec jej upadkowi. Gellert poszedł dalej, ocierając się o ubranie Godfreya i mrucząc „Ładna dziewczyna! Ładna dziewczyna".

Cairsdale chciał przyjść z pomocą omdlałej dziewczynie. Przez chwilę myślał, że nie żyje; była, jak w stanie kataleptycznym, ze skostniałemi rękami. Już zamierzał udać się na poszukiwanie jakiejś pomocy, gdy nadeszły dwie służące. Były blade i wystraszone.

— Zabił ją? — zapytała jedna z nich.

— Nie, nie — odrzekła druga— Bogu dzięki, jaśnie pan, był tutaj.

Młoda dziewczyna nie poruszała się. Kobiety rozpięły jej stanik i zaczęły rozcierać ręce, lecz ona nie dawała znaku życia. Zjawiło się więcej służby, a wśród niej stary Ferencz, również blady, jak nieszczęśliwa dziewczyna, leżąca u jego stóp.

Ze łzami w oczach jął stary sługa błagać Godfreya, ażeby opuścił korytarz. Z bezgranicznem obrzydzeniem wrócił Cairsdale do swojego pokoju i pozostał w nim do obiadu. Hrabia Gellert nie zjawił się przy stole. Traugott oznajmił, że hrabia ma migrenę i obiad spożyje u siebie.

Nie uczyniono żadnej, aluzji do zajścia w korytarzu i Godfrey również, postanowił nie mówić o tem. Ale, ilekroć przypomniał sobie wykrzywioną twarz i drżące ręce karła, przejmował go dreszcz wstrętu i grozy. Pragnął opuścić jaknajszybciej ten przeklęty dom.

Tego wieczoru — to jest wieczoru, w którym Wirginja spotkała się w Budapeszcie z Klaudjuszem — Godfrey grał w „écarté" z Walerją. Siedzieli w tak zwanym pokoju wieży. Był to piękny okrągły pokój, znajdujący się na ostatniem piętrze starego zamku. Księżniczka uczyniła z tego pokoju swój prywatny salon.

Żaden z innych pokoi nie wskazywał tak dokładnie na stare wojenne pochodzenie zamczyska Kès. Ściany i sklepienie było kamienne. Na murach wisiały różne trofea wojenne i stara broń. Ciężkie meble, olbrzymi stół dębowy, ciemny i bogato rzeźbiony, wielki kominek — wszystko to posiadało średniowieczny charakter i nieznaczne zmiany w urządzeniu nie były dostrzegalne. Pokój ten robił wyjątkowo przykre wrażenie na Godfreya. Takie wieże zwiedza się, ale spędzać w nich długie wieczory, na pogawędkach towarzyskich, nie należało do przyjemności.

Godfrey był bardzo zdenerwowany. Wydarzenie, którego był świadkiem oburzyło go w najwyższym stopniu. Jeden ze służących powiedział mu, że młodej dziewczyny nie mogli docucić, i dopiero po dwuch godzinach oprzytomniała. Czuła się strasznie osłabioną. Strach doprowadził ją do tego stanu, gdyż hrabia nie zdążył nawet zranić jej.

Godfrey czuł się dziwnie zgnębiony. Miał wrażenie, że dusi się w tej okropnej atmosferze. Napięcie nerwowe, w jakiem żył od szeregu dni, zaczynało oddziaływać na jego usposobienie. A jednak czuł, że musi się opanować, gdyż przytomność umysłu była mu tej nocy bardziej jeszcze potrzebna, niż zwykle.

Położył machinalnie króla, i wziął lewę, lecz nagle zadrżał. Walerja rzuciła karty na stół i obrzuciła go gniewnem spojrzeniem.

— Nie gram więcej z tobą! — zawołała. — Nic nie uważasz. Nie znoszę jak się tak gra!

— Przepraszam pokornie! Proszę się nie gniewać, — tłomaczył się Cairsdale. — To roztrzepanie. Nigdy nie umiałem skupić się podczas gry w karty.

— Nic dziwnego — rzekła porywczo — nie można się skupić, ani uważać, gdy myśli są daleko.

— Zaczniemy na nowo — powiedział Godfrey oschłym tonem — i przyrzekam, że tym razem będę uważać.

Zaczął tasować karty.

— Nie chcę grać więcej — oznajmiła Walerja wyniosłym tonem. — Może zechcesz łaskawie przysłać mi Matserę.

Młody mężczyzna odłożył karty i wstał.

— W tej chwili; powiem jej by przyszła do ciebie.

Lecz Walerja pochwyciła go za ramię.

— Jaki zimny jesteś, jaki obojętny — zawołała głosem niskim i nabrzmiałym tajoną namiętnością. — Gdy byliśmy razem z sobą przed dziesięciu laty, nie odbiegałeś ode mnie myślami. — — — Nie, nie przecz! Zauważyłam przed chwilą twoje roztargnienie. A... kiedy dawniej kazałam ci odejść, nie rozstawałeś się ze mną, bez słowa protestu. Czy nie?

Twarz Godfreya oblała się rumieńcem. Scena, której się lękał, a która groziła mu od pierwszej chwili spotkania z Walerją, po dziesięciu latach rozłąki, miała rozegrać się niezwłocznie. Łudził się nadzieją, że będzie mógł lawirować pomiędzy prawdą i kłamstwem. Lecz jak długo można zwodzić mądrą i bystrą kobietę. Nadszedł moment krytyczny.

Godfrey stał bezradny, jak małe dziecko. Co miał uczynić? Co powiedzieć? Prawda pogorszyła-

by całą sytuację i uniemożliwiła by mu, poprostu, pozostanie w zamku Kès. A jednak wstrętna mu była myśl odegrania komedji. Jak w śnie usłyszał głos Walerji.

— Przez dziesięć lat, myślałam o tobie, Godfreyu. Gdy los mnie związał z tym wstrętnym pijakiem, całe noce spędzałam w moim pokoju myśląc o tobie. Wyobrażałam sobie, że zjawisz się nagle, w złocistej zbroi, przełamiesz łańcuchy wiążące mnie, i niby Jazon zabierzesz mnie i zaniesiesz ku wolności, ku miłości. Marzyłam o tobie...

Urwała, a po chwili ciągnęła dalej.

— Teraz, gdy cię odnalazłam, jesteś już... inny. Mógłbyś mnie kochać, Godfreyu, zdaje mi się, że mnie kochasz, ale odnoszę wrażenie iż dzieli nas przepaść!

W głosie Walerji zadrżały nuty rozpaczy.

Cairsdale uczynił ruch pełen zniechęcenia.

— Droga Walerjo — rzekł — krzywdzisz mnie tem powiedzeniem. Myślałem, że nigdy już nie będzie mi wolno zobaczyć się z tobą i byłem tem nagłem spotkaniem unicestwiony. Wiesz ile przecierpiałem, ażeby cię zapomnieć... A teraz...

Zacisnęła pięści.

— To wymówki! — zawołała. — Wymówki. Kobieta wyczuwa takie rzeczy. Dałam ci czas, byś wrócił do równowagi. Spotkaliśmy się przed tygodniem i czekałam cierpliwie na powrót twojego uczucia. Ale dajesz mi z siebie tyle tylko, ile wyrywam z ciebie. Nic nie zostało z twojej miłości! Nic, absolutnie nie zostało!

Mówiła podniesionym głosem, uderzając piąstką w stół. Odwróciła głowę, jakby czekając odpowiedzi. Lecz Godfrey Cairsdale milczał. Nie mógł znaleść odpowiednich słów, chociaż rozumiał że każda chwila zwłoki ma swoje znaczenie i czyni z niego w jej oczach, kochanka, który gardzi jej miłością.

A jednak musiał się zdobyć na odwagę. Spojrzał na nią z rozpaczą. Była piękna, bardzo piękna, stała, wyprostowana przed nim; jej wargi drżały, delikatna pierś falowała. Zauważył, pełen zachwytu, szlachetny owal jej twarzy, cudne czarne rzęsy kładące się cieniem na oczy. Przemawiała do zmysłów Godfreya, a jednak — — —

Przyglądając się jej, zrozumiał, że jeśli odczuwał jeszcze jakieś wzruszenie, to nie budziła go Walerja, lecz wspomnienie wielkiej namiętności, która szalała w nim kiedyś i niosła go na szczyty uczucia ku gwiazdom.

— Nie masz mi nic do powiedzenia?

Cierpki ton Walerji przerwał w niemiły sposób, rozmyślania Godfreya.

— Sformułowałaś już wszystkie swoje wymówki? Walerjo — rzekł głuchym głosem — tyle rzeczy zaszło już, tyle się zmieniło w międzyczasie.

Roześmiała się złym śmiechem i obrzuciła go gniewnem spojrzeniem.

— Być może iż wiele się zmieniło, ale w każdym razie nie dość, by kobieta należąca do cesarskiego rodu miała błagać o wzajemną miłość — — — zawahała się jakby szukając odpowiedniego słowa — pierwszego lepszego!

Godfrey oburzył się.

— Nie myślałem o tem — rzekł — nasze stanowiska społeczne były odmienne, lecz nasze uczucie jednakie. Kochałem cię serdecznie, lecz musiałem wykreślić się z twojego życia! Wolałabyś, żebym odegrał jakąś komedję? Widzisz, że jestem szczery.

Gniew Walerji opadł z niej nagle. Westchnęła głęboko i ujrzał jej oczy, pełne łez.

— Tak Godfrey, jesteś szczery, brutalnie szczery, jak tylko Anglik potrafi być.

Wypowiedziała te słowa ciepło, śmiejąc się przez łzy. Następnie kładąc rękę na jego ramieniu dodała namiętnym szeptem:

— Ale nie igrasz ze mną. Prawda Godfreyu, że nie bawisz się mną? Mogę zaczekać jeszcze troszkę, w nadziei że wrócisz do mnie. Tylko bądź szczery! Nie, nie przecz mój drogi! Widzę jak wyniośle, z jaką angielską pogardą spoglądasz na Gellerta i innych oddających mi honory, przynależne mojemu rodowi. Lecz niech cię to nie wprowadza w błąd, niech ci się nie zdaje, że to zabawa — — — moja władza nad nimi jest nieograniczona, nieograniczona, rozumiesz? Może nadejdzie dzień, w którym szczęśliwym będziesz, że masz we mnie oparcie.

Ogarnęło go uczucie trwogi.

Co chciała przez to powiedzieć? Jakie znaczenie miały jej słowa? Podejrzewała go?

— Godfreyu, nie gardź moją przyjaźnią i bądź ze mną szczery. Pamiętaj i o tem, że jeżeli umiem kochać, potrafię też nienawidzieć!

Ujęła go za rękę.

— Ten ciemny pokój rozstraja moje nerwy — odezwała się po chwili. — Zejdźmy do salonu, a zagram ci Szopena; to tak uspakaja.

Lecz nocy tej, gdy Godfrey siedział samotnie w swoim pokoju, przygotowując się pośpiesznie do wycieczki, którą miał przedsięwziąć, słowa Walerji wracały mu na myśl. Ich ton był niepokojący i pełen groźby. Czy zdemaskowano go natychmiast i czy młoda kobieta nie była narzędziem w rękach tych, którzy go wciągnęli do zamku Kès? Jeżeli istotnie wpadł w zastawione sidła, to trzeba się było starać wydostać z nich.

— Mamy dziś pietnasty stycznia — pomyślał Godfrey — zatem jutro w nocy muszę być na przystanku przy dwieście dwudziestym czwartym kilometrze, gdyż Orient Express przywiezie mi ważne zlecenia. A teraz należy sprawdzić, czy będę mógł wydostać się z tej warowni.

Słyszał, jak Stefan chodził po wyższych piętrach, chciał więc przekonać się, czy i parter jest również strzeżony.

Na przeciwległym końcu korytarza, znajdującego się na drugiem piętrze zauważył mały pokoik przy schodach, w którym chowano szczotki i różne sprzęty domowego użytku. Ten pokój, zarówno jak jego pokój nie był zamknięty na klucz.

Pokój leżał po tej samej stronie korytarza, co i pokój Godfreya. Pod oknami wzdłuż muru przechodziła wielka szeroka rynna.

Godfrey postanowił wyjść z pokoju przez okno, pójść po rynnie aż do ostatniego pokoju przy schodach i wejść tam również przez okno. Następnie przeczekać, aż stróż nocny zawróci i zejść cicho na dół.

Zgasił świecę i odemknął okno. Usłyszał, w korytarzu skrzypiący chód Stefana. W tej chwili służący mijał jego pokój. Zaczekał kilka sekund, a następnie zsunął się i oparł stopami o rynnę. Noc była mroźna, cicha i ciemna. Godfrey znajdował się w zupełnym mroku, zakrywającym zamek Kès.

(D. c. n.).